

FC Niepodległa

[podpis] RAFAŁ STEC

[DGW RP] - Gazeta Wyborcza nr 240, wydanie z dnia 13/10/2012, Magazyn, str. 27
CZY HISPANIA SIĘ PODZIELI?

Woody Allen grubo się pomylił. Sfilmował w Barcelonie arcydzieła Gaudiego, ale zapomniał pokazać na ekranie tego, co najważniejsze - piłkarskiego stadionu, gdzie bije puls Katalonii

RAFAŁ STEC

Dopiero w minioną niedzielę naprawdę cały świat usłyszał, że Katalonia chce się oderwać od Hiszpanii. Po 17 minutach i 14 sekundach El Clásico, futbolowego hitu nad hitami, blisko 100 tysięcy fanów na stadionie Camp Nou zaczęło ryczeć: "Independencia!". Oglądały ich na wszystkich kontynentach miliony wyznawców Barcelony i Realu Madryt, którzy jeszcze przed meczem zobaczyli, jak wyglądają narodowe barwy regionu. Zazwyczaj na trybunach króluje blaugrana, czyli granatowo-bordowe kolory klubu, teraz rozświetliły je czerwone pręgi na złotym tle, czyli senyera, katalońska flaga.

Kibice rozkrzyczeli się akurat w tamtym momencie na wspomnienie 1714 roku, w którym Katalończycy ostatecznie utracili samodzielność i stali się poddanymi hiszpańskiego króla Filipa V. A skoro oni się rozkrzyczeli, to sprawa robi się poważna. Ba, również mam ochotę krzyknąć, że secesja staje się nieunikniona.

Moje przekonanie nie bierze się z nowych sondaży, wedle których 55 proc. autochtonów (po raz pierwszy zyskali większość) domaga się rozstania z Madrytem. Ani z sugestywności wzmacnianych dodatkowo przez kryzys wskaźników ekonomicznych, z których wynika, że jeden z najbogatszych regionów Hiszpanii oddaje stolicy ponaddwukrotnie więcej, niż odzyskuje w postaci inwestycji publicznych. Tym bardziej nie przekonują mnie wrzaski nacjonalistycznie zorientowanych polityków. Nie, działa wyłącznie magia Camp Nou, jedyne w świecie stadionu będącego sanktuarium narodowej tożsamości. I magia Barcelony, jedyne piłkarskiego klubu będącego owej tożsamości symbolem, wehikułem, największą dumą.

Muzea sławnych klubów wyglądają niemal identycznie, umeblowane są trofeami, wielkoformatowymi zdjęciami meczów i drużyn, a także koszulkami, spodenkami, korkami i innymi relikwiami zdjętymi ze sławnych graczy. Barcelońskie radykalnie różni się klimatem - ze ścian możesz tam godzinami szczytywać kronikę uciśnionej nacji, którą spod buta hiszpańskich oprawców, ze specjalnym uwzględnieniem generała Franco, umieli wykopywać jedynie bohaterowie boiska. Historia klubu jest z historią regionu zrośnięta, w obu dominuje martyrologia, z przełomowym rokiem 1936 - datą zamordowania przez Falangę Josepa Sunyola, uważanego dziś za męczennika prezesa Barcelony, ale też polityka proniepodległościowej partii. Tuż po wojnie domowej klub został zmuszony do usunięcia z herbu katalońskiej flagi i zmiany nazwy na hiszpańskobrzmiącą, a wcześniej faszyci zrzucili na jego siedzibę bomby. Ale w czasach dyktatury stadion był jedynym miejscem, gdzie Katalończykom zdarzało się poczuć wolnymi lub wręcz zwycięskimi. Przemycali na trybuny flagi, skandowali antymadryckie hasła, pokonywali Real. Barcelona stała się "Més que un club", czyli "Więcej niż klubem". Po śmierci Franco pierwszy wybrany w wolnych wyborach

prezydent Katalonii krzychał na stadionie do 100 tys. ludzi: - Nasz klub jest wielki, bo zawsze był wierny Katalonii. Niech żyje Barca! Niech żyje Katalonia!

Kiedy Woody Allen - jak większość Amerykanów nieświadomy europejskiego bzika futbolowego - nakręcił "Vicky Cristina Barcelona", grubo się pomylił, bo sfilmował Sagrada Familia, Park Güell, arcydzieła Gaudiego i inne oczywiste symbole okolicy, jednak zapomniał pokazać na ekranie tego, co najważniejsze - stadionu. To na Camp Nou bije puls katalońskości, to tam w erze futbolowego kosmopolityzmu, zdominowanego przez szatnie rozbrzmiewające wszystkimi językami świata, nie tylko pielęgnuje się tradycje, ale też z lokalnego patriotyzmu czyni fundament strategii.

"Szukamy przede wszystkim piłkarzy z naszego miasta. Jeśli ich nie znajdujemy, rozglądamy się po regionie. Jeśli i tam ich nie znajdujemy, sprawdzamy inne części Hiszpanii. Dopiero kiedy nie ma alternatywy, wychodzimy za granicę" - opowiadał mi Albert Capellas, jeden z byłych szefów legendarnej już klubowej akademii dla młodych piłkarzy. Dzięki temu katalońscy fani czerpią z triumfów wyjątkową frajdę, oklaskując sąsiadów. Bramkarz Victor Valdés urodził się pięć minut piechotą od stadionu, wirtuozerski rozgrywający Xavi Hernández - godzinę od Camp Nou, obrońca Gerard Piqué miłość do barw odziedziczył po dziadku, który klubowi wiceprezesował, Sergio Busquets oglądał ojca w katalońskiej bramce. Na Camp Nou nie wygrywają "oni" - importowani najemnicy, którzy jutro odlecą za tłustszym kontraktem do innej korporacji - lecz "my", nasi chłopcy.

Kiedy 11 września - święto narodowe, data zdobycia miasta przez wojska Burbonów we wspomnianym 1714 roku - na ulicach miasta ponad 1,5 mln ludzi demonstrowało pod hasłem "Katalonia: nowe państwo w Europie", najdonioślej wybrzmiało przesłanie Josepa Guardiola. Były trener Barcelony wyprowadził się chwilowo do Nowego Jorku i stamtąd krzyknął (na telebimie), że jego rodacy mają jeden głos więcej, że czuje się jednym z nich - żądających niepodległości. Na stronach politycznych gazet jego nazwisko niemal nie padało, tymczasem Guardiola siłą oddziaływania na masową katalońską wyobraźnię po wielokroć przebija każdego tamtejszego polityka. To żywy pomnik, być może bardziej zasłużony dla rozbudzania separatystycznych nastrojów, niż sam podejrzewa.

Dzieje FC Barcelona były przede wszystkim opowieścią o udręce. Cierpiał cały naród, cierpieli kibice i piłkarze, niesprawiedliwie traktowani w rywalizacji ze wspieranym przez frankistowski reżim Realem Madryt (w demokracji jedynym premierem zwolennikiem drużyny z Camp Nou był José Luis Zapatero). Aż tu nagle, przed kilkoma laty, uwielbiana drużyna nie tylko zaczęła zdobywać najcenniejsze puchary seryjnie, nie tylko została najlepszą na planecie, ale jeszcze obwołano ją futbolowym arcydziełem wszech czasów. Jeśli nie macie pojęcia o piłce kopanej, a chcecie się zetknąć z najwyższym stężeniem poetyckich uniesień reporterów sportowych, wstukajcie do Google'a Barcelonę, Guardiolę lub Leo Messiego, poważnego kandydata do zdetronizowania piłkarskich bogów - Maradony oraz Pelego. Katalończycy wraz z nastaniem ich ery już w pewnym sensie wybili się na niepodległość - poczuli się najlepsi w świecie w czymś, co dla nich najważniejsze lub bardzo ważne, zyskali globalną rozpoznawalność o bezprecedensowej skali, dostali mnóstwo powodów do pęknięcia z narodowej dumy. To nie przypadek, że akurat teraz, gdy trwa belle époque, klub ogłosił, że w przyszłym sezonie w części meczów gracze będą zakładać stroje w barwach senyery.

Nie przeceniam znaczenia piłki nożnej, raczej doceniam znaczenie Camp Nou dla regionu, w którym od zawsze tliła się potrzeba walki o odrębność. I o ile gospodarza zapaść może

zadziałać jak iskra, która zgaśnie jutro albo pojutrze, o tyle sportowa potęga Barcy, plemienny charakter otaczających ją emocji, a także sprzyjająca podtrzymywaniu nastrojów nieustająca ciągłość rozgrywek mogą długo dostarczać paliwa. I spowodować, że kryzys minie lub zelżeje, a pragnienie niezależności wprost przeciwnie.

Z Camp Nou płyną sygnały uświadamiające, że perspektywę wyrwania się z Hiszpanii traktuje się tam poważnie. Secesja rodziłaby niebłahе problemy praktyczne, bowiem ewentualne stworzenie osobnej ligi krajowej zakończyłoby futbolową wojnę katalońsko-madrycką, a to się zwyczajnie nie opłaca - mecze Barcelony z Realem to najsłynniejsza, marketingowo bezcenna rywalizacja w piłce nożnej. Prezes Sandro Rosell rzucił już zatem uspokajająco, iż w razie potrzeby pożyczycy wariant stosowany w księstwie Monako - tak jak tamtejszy klub należy do ligi francuskiej, tak jego pozostanie w hiszpańskiej. Nawet szefowie Realu zapewne go wesprą - zaciekle wrogość między oboma rywalami to w istocie symbioza, każda ze stron w samotności, pozbawiona punktu odniesienia zwątpiłaby w sens swojego istnienia.

Ekonomiści dostrzegliby w ustanowieniu nowego państwa nową silną gospodarkę, napędzaną przez 7,5 milionów ludzi, społeczeństwo liczniejsze niż Dania, Irlandia, Finlandia i jeszcze dziewięć innych członków Unii. Entuzjaści futbolu poczuliby dreszcze na myśl o innej wersji El Clásico - meczach reprezentacji Hiszpanii z reprezentacją Katalonii, która nie stałaby się średniakiem, lecz nazajutrz po wejściu do UEFA wtargnęłaby do grona supermocarstw.

Jeszcze niedawno zdawało się, że futbol Hiszpanię zjednoczy. Jej drużyna narodowa przez dekady musiała znosić niemal wyłącznie klęski, a przyczyn szukano m.in. w zatrującym szatnię podziale na Kastylijczyków, Katalończyków, Basków, Galisyjczyków - zjawiskowo utalentowani gwiazdorzycy gotowi bić się do upadłego na chwałę Realu lub Barcelony pod wspólnym sztandarem tracili ponoć pęd do zwycięstw. Kiedy jednak piłkarze zdobyli mistrzostwo Europy (2008, obronili je w lipcu) oraz złoto mundialu, kibice ze wszystkich regionów świętowali wspólnie, zresztą wybuchła nawet dyskusja, czy aby nie wypada wreszcie napisać słów do hiszpańskiego hymnu.

O dyskusji nikt już nie pamięta, barcelońscy fani zdają sobie za to sprawę z tego, że dla reprezentacji najznaczniej zasłużyli się ich chłopcy - od filaru obrony Carlesa Puyola, przez zawiadującego całą grą Xavięgo, po strzelca zwycięskiego gola w finale mistrzostw świata Iniestę. Nie dość, że Katalończycy do reszty Hiszpanii dokładają, to jeszcze na chwałę Hiszpanii wygrywają w piłkę.

RP-DGW

Tekst pochodzi z Internetowego Archiwum Gazety Wyborczej.